

POKÓJ BEZ WIDOKU

FRAGMENT

Wrześniowe słońce świeciło bez przekonania. Zapuściłem się w głąb parku, spacerowym krokiem minąłem Grób Nieznanego Żołnierza, doszedłem do Krakowskiego Przedmieścia i teraz już prosto jak po sznurku dotarłem na Starówkę. Przez plac Zamkowy przetoczył się tłum skośnookich turystów, zaraz potem przemaszerowali dziarskim krokiem ogoleni na лыso młodzieńcy w pseudowojskowych uniformach. Gapiłem się z otwartymi ustami. Wicie, jak to jest, kiedy człowiek wraca po trzydziestu kilku latach. Świat nie stoi w miejscu.

Zjadłem pizzę, obejrzałem monotennie kolorowe wystawy księgarń i tą samą drogą wróciłem do mrówkowca przy Marszałkowskiej. Z ulgą opróżniłem pęcherz. Włączyłem laptop i zacząłem od przejrzenia poczty. Śmieci i reklamy. Do czytania i pisania nie potrzebuję okularów, dobry wzrok odziedziczyłem po ojcu; mam nadzieję, że to jedyne, co po nim przejąłem. Uporawszy się z czyszczeniem skrzynki e-mailowej, zajęłem się cotygodniowym artykułem dla literackiego dodatku „New York Timesa”: „Coetzee w Auschwitz. Gdyby Kafka doczekał Holokaustu”. Pseudoliterackie wypociny, tyle że sygnowane nazwiskiem gościa, który osobiście znał Bellowa, Rotha, Vonneguta i Sontag. To o mnie. O czwartej zrobiłem przerwę, żeby się wysikać, łyknąłem czerwoną tabletkę, przygotowałem sobie drinka i pisałem dalej. Skończyłem kwadrans po szóstej. Przeczytałem tekst, skróciłem akapit poświęcony Kerteszowi i jednym kliknięciem wysłałem artykuł za ocean.

Zdażyło się ściemnić. Wszedłem do łazienki i dopiero stojąc w drzwiach, pstryknąłem przełącznik. Po jasnokremowej posadzce śmignęły brązowe kształty. Pochowały się w szparach podłogi. Jeden pozostał. Okaz wielkością niemal dorównywał nowojorskim krewniakom. Mr Majesty. Karaluch stał pośrodku łazienki i byłbym gotów przysiąc, że się na mnie gapił. Wiecie, o co chodzi. Starzeją się i wraz z wiekiem tracą instynkt. Nadmierna pewność siebie, oto co je na starość gubi.

Zgniotłem go butem, wziąłem przez papier toaletowy i wrzuciłem do muszli. Spłukałem. Akurat wracałem do pokoju, kiedy zadzwoniła komórka. Spojrzałem na wyświetlacz: Szloser. Usiadłem ciężko na fotel i wybrałem przycisk.

– Profesor John Godart?

Obcy głos. Odczekałem chwilę i zapytałem:

– Kto mówi?

– Tomanek, „Warsaw Properties”. Byliśmy umówieni.

– A Szloser?

Współwłaściciel firmy „Warsaw Properties” miał tubalny głos i lekko seplenił. Dopasowałem głos do sylwetki i wyszedł mi Hulk Hogan za najlepszych lat na zapaśniczym ringu.

– Dzwonię z jego służbowej komórki. Znam sprawę od Szlosera. Musiał pilnie wyjechać za granicę i prosił, żeby go zastąpić. Przyjadę po pana około dwudziestej. Może być?

Seplenił albo żuł gumę. A może po prostu lekko kacłeczył niektóre dźwięki jak ktoś, kto zbyt długo przebywał za granicą?

– Wolałbym odłożyć to do rana.

– Jutro będzie za późno. Muszę znać pana decyzję jeszcze dzisiaj.

Zaczęło siąpić. Ból w prawym kolanie nie zwiastował szybkiej poprawy pogody. Myślałem, jak się wykręcić.

– Profesorze Godart? Jeżeli nie jest pan zainteresowany, nie nalegam. Gdyby nie to, że według Szlosera poluje pan na duży metraż za rozsądne pieniądze...

– Dowiem się czegoś więcej?

– Dobrze. – Westchnął. – Lofty w dawnej fabryce. Władze dzielnicy jutro podpisują decyzję o sprzedaży, pierwsi lokatorzy wprowadzą się za pół roku.

Pomyślałem o kontenerze z książkami, które najdalej za dwa tygodnie wypłyną z Nowego Jorku w dziewiczy rejs do gdyńskiego portu.

– Dobrze – powiedziałem. – Marszałkowska...

– ...sto jednaście a – dokończył za mnie. – Szloser podał mi adres. Czekam o dwudziestą pod domem. Przyjadę firmowym wozem.

Zjadłem dwie grzanki z dżemem, usiadłem w fotelu i ponownie sprawdziłem pocztę elektroniczną. Adwokat Debbie kolejny raz przypominał, że na mocy umowy rozwodowej połowa honorariów autorskich profesora Godarta należy się jego byłej małżonce. Wykasowałem emaila, w duchu życząc Debbie rychłej starości.

Zwykle chćiejstwo w przypadku gościa, który w drodze do mety wyprzedza byłą lubą o dobre trzydzieści lat.

Zapaliłem światło w łazience, odczekałem, otworzyłem drzwi i stanąłem na pustej jasnokremowej posadzce. Wziąłem prysznic i po półgodzinie byłem gotowy do wyjścia. Z lustra w przedpokoju patrzyła na mnie facjata, jakiej się dorobiłem przez sześćdziesiąt kilka lat,

i metr osiemdziesiąt siedem zwieńczone rzadkim kucykiem.

– Profesorze Godart. – Podniosłem szklaneczkę z Johnniem Walkerem. – Życzę udanych łowów.

– Profesorze Godart – odpowiedziało mi odbicie w lustrze – ma pan problem alkoholowy.

– Pudło, profesorku! – Bez pośpiechu dopiłem whisky. – Mam cholerny problem z prostatą.

DWA

Na parkingu wypatrzyłem szarą mazdę z logo „Warsaw Properties Derkowski & Tomanek”. Tomanek wytoczył się z samochodu i podał mi pulchną dłoń. Był niższy ode mnie o głowę, miał sporą nadwagę i sądząc po oddechu, helicobacterie uwiły sobie w nim przytulne gniazdko. Włosy farbował na czarno. Albo miał dobrze dopasowaną perukę. W myślach przeprosiłem Hulka Hogana.

– Mam przecucie – odezwał się po wstępnej prezentacji – że będzie pan zadowolony z oferty.

W czarnym, eleganckim, szytym na miarę garniturze prezentował się jak przedsiębiorca pogrzebowy na branżowym zjeździe w Las Vegas. Poczułem się niczym ubogi krewny, kiedy tak stałem naprzeciw niego w sztruksowej marynarce i znoszonych dżinsach.

Usiadłem na tylnym siedzeniu, Tomanek wcisnął się za kierownicę i ruszyliśmy. Prowadził pewnie i z dry-

giem. Dojeżdżaliśmy do placu Bankowego, kiedy uprzedzając moje pytania, powiedział:

– Z chwilą złożenia podpisu przez naczelnika dzielnicy fabryka i teren przyfabryczny przechodzą na własność miasta. Dawne hale będą zaaranżowane na mieszkalne lofty. W stanie surowym pójdą za połowę wolnorynkowej ceny. Mam zaklepane tysiąc metrów kwadratowych. – Spojrzał na mnie w lusterku wstecznym. – Dodatkowe dwieście mogą jeszcze utargować. Wystarczy?

To, co przez telefon wziąłem za seplenienie, teraz wcale nie wydawało mi się związane z wadą wymowy. Miałem wrażenie, że tak bardzo się stara panować nad akcentem, że trąci to sztuczością. Pod tym względem przypominał pianistę, który bez jednego potknięcia wykonuje wyuczony utwór, ale jego wirtuozerską interpretację cechuje uczuciowy deficyt.

W odpowiedzi na pytanie Tomanka kiwnąłem potakująco głową. Raptem poczułem się senny. Wjechaliśmy na most prowadzący na Pragę.

– Ale, ale – przerwał milczenie – do czasu przeprowadzki nie chciałby pan wynająć czegoś większego? Trudno gnieździć się z rodziną w takiej klitce.

– Nie mam rodziny.

Chwilę jakby trawił w myślach to, co usłyszał. Wiedziałem, o co teraz zapyta.

– Nie chcę być wścibski... Jest pan malarzem?

- Skąd ten pomysł?
- Dwieście metrów dla jednej osoby... Chyba że na pracownię malarską?
- Książki. Mam bibliotekę złożoną z czterdziestu kilku tysięcy tomów. Muszę gdzieś to upchać.
- A, książki. – Uśmiechnął się, jakby przyłapał mnie na zabawie kolejką elektryczną. – Hobby, hm?
- Przytaknąłem. Nie widziałem potrzeby, by zwierzać się obcemu facetowi, jak zarabiam na życie.
- Wyprzedziły nas dwie karetki na sygnale.
- Ja wyżywam się w technice – oznajmił. – Monitoring i komputerowe zabezpieczanie obiektów. To pozwala nieźle zarobić.
- A nieruchomości?
- Łączę jedno z drugim. – Zwolnił przed sznurem samochodów. – Ludzie najpierw gromadzą majątek, a potem wydają kupę forsy, by mieć pewność, że ich nie okradną. Chcą czuć się bezpiecznie.
- Poruszaliśmy się teraz w żółwym tempie. Przy torowisku tramwajowym, w odległości trzech metrów od pary opustoszałych wagonów, stały dwie karetki. Samochody przed nami zwalniały. Policjant kierujący ruchem przynaglił kierowców, żeby jechali dalej.
- Dzień jak co dzień – mruknął Tomanek.
- Uliczne latarnie oświetlały całą scenę. Patrzyłem na nogi w męskich półbutach, nienaturalnie ułożone na tramwajowej wysepce. Resztę zasłaniali gapie.
- Pewnie zawał – mruknąłem.

– Gdzie tam! Wpadł pod tramwaj.

Na wysokości karetek obejrzałem się. Z drugiej strony przedniego wagonu stał wóz techniczny zaopatrzone w podnośnik hydrauliczny.

– Zatrzymamy się?

Podziękowałem. Tomanek nie nalegał. Dwa skrzyżowania dalej skręcił w boczną ulicę, potem w następną. Mijaliśmy wyludnione chodniki i kamienice upiornie żółte w świetle latarni.

Skulony w fotelu mazdy przeniosłem się myślami za ocean, na wyspę Manhattan. Akurat wspominałem pierwszą noc u Debbie w jej zafajdanej czynszówce na Bronksie, kiedy Tomanek oznajmił:

– Jesteśmy na miejscu.

To, co zobaczyłem, wam na pierwszy rzut oka też by się nie spodobało. Za wysokim murowanym ogrodzeniem wyrastała ciemna ceglana sylweta: konstrukcja prosta jak lotniczy hangar, zdewastowane okna, z dwóch stron dachu bliźniacze przybudówki podobne do wież obserwacyjnych na łodzi podwodnej. Budowla niewiele się różniła od dziesiątek opuszczonych fabryk, które widywałem od Detroit po Nowy Jork. Nagle za tęskniłem za dwupoziomowym apartamentem z widokiem na pomnik Shermana i zachodnie obrzeża Central Parku.

Tomanek wyczuł mój nastrój.

– Za tydzień nie pozna pan tego miejsca. Ekipy budowlane tylko czekają na sygnał, żeby wkroczyć.

Znałem miejsca na Brooklynie, których cena w trzy miesiące osiągała dziesięciokrotne przebicie. Dawne rzeźnie, farbiarnie, kościoły, przedszkola i zajezdnie tramwajowe zamieniały się w malarskie atelier i luksusowe domy schadzek dla przedstawicieli wszystkich trzech płci.

W zasadzie, tłumaczyłem sobie podążając za Tomankiem, powinienem być zadowolony. Warszawa, do której wracałem, stawała się częścią tak zwanego lepszego świata.

– Pozwoli pan? – Tomanek, nie zwalniając kroku, wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy.

Wybrał numer. Niemal natychmiast i moja komórka zajazgotowała Brahmsem. Ledwo wcisnąłem przycisk, usłyszałem dobiegający z dwóch stron głos Tomanka:

– Szloser? Doleciał już pan do Wiednia?

– Panie Tomanek – powiedziałem do słuchawki – melduje się profesor Godart, póki co z Warszawy.

Staliśmy już pod ogrodzeniem. Tomanek miał speszoną minę i chowając komórkę do kieszeni, przeproszał mnie stokrotnie. Wyjął pęk kluczy i otworzył bramę, zagraconym chodnikiem doprowadził mnie do wejścia oświetlonego parą odrutowanych lamp z nalotem pajęczyn. Wybrał inny klucz, przekręcił dwukrotnie w zamku i metalowe drzwi ustąpiły. Zanim wszedłem, zadarłem głowę i przeczytałem: „OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. OBIEKT MONITOROWANY”.

– Profesorze Godart – zaczął Tomanek tonem, jaki miał okazję pewnie nie raz przetestować na setkach klientów – oto pana przyszedł dom. Witam w Zaułku Spełnionych Marzeń.

Nieźnośnie pretensjonalne, uznałem. Pretensjonalne i patetyczne. Zaczęło drapać mnie w gardle. Rozkaszlałem się. Tomanek zapalił światło i Zaułek Spełnionych Marzeń odsłonił się przede mną w niebieskawym świetle jarzeniówek. Pokryta dziurawym linoleum cementowa podłoga, betonowe stropy, nad głową proste sklepienie z płataniną wygiętych prętów. Wypisz wymaluj nowojorska bimbrownia z okresu prohibicji.

– Tu powstanie część handlowo-usługowa – podjął Tomanek, wyczuwając moje wątpliwości. – Zapraszam na górę, do apartamentu pokazowego.

– Apartament pokazowy? – burknąłem, wdrapując się za Tomankiem po metalowych krętych schodkach.

– Kto dzisiaj kupuje w ciemno?

Siedząc niezadługo potem w jednym z dwóch klubowych foteli, patrzyłem na nieskazitelnie czyste białe ściany i cofałem przekleństwa, jakimi chwilę wcześniej w myślach obrzucałem Tomanka. Szybkim spojrzeniem ogarnąłem dwa strzeliste okna przesłonięte chabrowymi kotarami. Z daleka obejrzałem udane podróbki aktów Modiglianiego i zygzakowate kinkiety, układające się w wielki ścienny zegar. Meble ze szkła i metalu były nie w moim guście, ale to można zmienić. Gdyby mnie ktoś pytał o zdanie, brakowało książek.

– Zostawię pana na chwilę. – Tomanek zniknął za sąsiednimi drzwiami. – Za sekundę wracam z dokumentacją.

Rozglądając się po pokoju, w myślach meblowałem wnętrze. Lubię otaczać się sprzętami, które mi się dobrze kojarzą. Pożałowałem, że z nowojorskiego gabinetu zabrałem tylko stylowe biurko i barek. Na wspomnienie barku poczułem znajome pieczenie w ustach. Johnnie Walker dopominał się o moje względy. Jeszcze kwadrans i język zaczniesz mi kołowacieć.

Czekanie przedłużało się. Dobry Boże, jęknąłem, zerkając na zamknięte drzwi, za którymi Tomanek zniknął chyba dziesięć minut temu. Faulknerowi też musiał kołowacieć język, zanim kilkoma łykami whisky doprowadził się do stanu używalności.

Zaczynałem się niecierpliwić. Domagający się uwagi Johnnie Walker to nie jedyne moje zmartwienie.

– Panie Tomanek? – zawołałem w stronę zamkniętych drzwi. – Długo to jeszcze potrwa?

Nie odpowiedział. Dźwignąłem się z fotela, podszedłem i złapałem klamkę drzwi, za którymi zniknął.

Zamknięte.

W kilku susach, jakbym zapomniał o sześćdziesiątce na karku, dopadłem drzwi wejściowych i napałem na nie z całych sił. Ani drgnęły.

Podbiegłem do okna i szarpnąłem kotarę. Zobaczyłem mur z czerwonych cegieł, szczelnie wypełniających

prostokąt metalowej ramy. Jeszcze zanim odważyłem się uchylić drugą kotarę, wiedziałem, co zobaczę.

Rzuciłem się na powrót do drzwi wejściowych, jakbym się łudził, że chwilę wcześniej dałem się ponieść wyobraźni.

W tym momencie zgasło światło. W panice rzuciłem się do przodu, zawadziłem o coś nogą i zwałem się jak długi na podłogę.